

*Die 31 julii, godzina czwarta w południe  
Lochy pod tarasem zamku w Sanoku*

Moskał, którego przyprowadzili hajducy do izdebki w podziemiach tarasu, nie wyglądał na człowieka, z którym można czytywać sielanki sławetnego Szymona Szymonowica przy kielichu dobrego wina. Oczywiście, Dydyński nie spodziewał się, iż człowiek, który wynajęty został do porwania carewicza, będzie równie gładki co przemowa dworaka. Pierwszy raz jednak ujrzał Moskala, który budził w nim nie tylko pogardę, ale także, a może przede wszystkim – respekt. To nie był ciemny i gruby brodacz w szubie pamiętającej czasy Aleksandra Newskiego, podobny z obyczajów do niedźwiedzia, pijący gorzałkę szklenicami i bijący czołem na sam dźwięk carskiego imienia, człek głupi, sprośny i podstępny. Krępy i potężny, z wygolonym łbem, przypominał nie tyle tresowanego misia, co dębowy pniak, którego ani łopata, ani nawet parą koni wykarczować nie sposób. Pierwsze, co uderzało w wyglądzie, to jakaś toporna, brutalna, zwierzęca siła. Zbudowany był niezgrabnie, ale tryskał żelaznym zdrowiem. A jego niedźwiedziovata postać nie była pozbawiona swoistego wdzięku, tym bardziej iż nie nosił przed sobą sążnistego kałduna, jak większość moskiewskich bojarów i podstarzałych Polaków. A jeśli idzie o wiek, nad wyraz trudno było go określić. Choć nosił brodę jak ruski święty, wyglądał zbyt młodo na Sokratesa, a nieco za staro na świętego Jana. Swoją drogą, Moskałowi nie sposób było odmówić dumy. Choć obdarzony prawie do naga, stał z uniesioną głową, w łańcuchach na rękach i nogach, pilnowany przez hajduków, którzy nie spuszczały z niego wzroku, jak z dzikiego zwierza, który lada chwila mógł

wyrwać się z klatki i przyczynić poważnych zniszczeń. Jacek jakoś się im nie dziwił. Widać było na pierwszy rzut oka, że czuli lęk przed tym człowiekiem, gdyż zalał za skórę nadzorcom więzienia bardziej niż najdłuższa drzazga. Pewnie we czterech daliby mu radę, ale nie od razu i nie bez dłuższej szamotaniny.

– Jak się zwiesz?! – zapytał Dydyński, starając się nadać głosowi groźne brzmienie. Niestety, butna mina wcale mu nie wyszła, a Moskał nawet się nie poruszył.

– Odpowiadaj, hultaju! – krzyknął rosły hajduk stojący po lewej.

Borys wzruszył ramionami i sterczał nieruchomo jak głaz z granitu.

Dydyński nie wiedział, co rzec. Straszyc czy grozić? Obiecować łaskę? Wołać kata?

Zanim zdołał wybrać, wyręczyli go hajducy. Najwyższy podrzucił w górę czekan, chwycił go za głowicę i z zamachem rąbnął jeńca w plecy. Moskał zadygotał, szarpnął łańcuchami – wówczas runęli nań pozostali. Bili krzepko – pięściami, rękojęściami siekierek. Rozzłoszczeni milczeniem i hardością.

Jeniec wytrzymał kilka razów. Wreszcie dostał obuchem w łeb, padł na ziemię, zwałił się niczym dąb podcięty toporami drwali, którzy przy jego posturze wyglądali jak mrówki.

– Dość już! Starczy! – Jacek przestraszył się, że hajducy załtłuką Moskala w zawziętej furii. – Powiedziałem: dość!

Nie zaprzestali, więc zerwał się zza stołu, przyskoczył do nich, odepchnął najbardziej krewkiego, dzielił w plecy drugiego, powstrzymał krzykiem trzeciego.

Moskał siedział na podłodze; nie padł na kolana. Oddychał spazmatycznie, a strużka krwi przecinała jego oblicze.

– Wystarczy ci tego, psi synu? – warknął jeden z hajduków.

– Przymało – wycharczał Moskał. – Płochy bijecie.

– Podnieście go.

Powoli i niechętnie hajducy wypełnili rozkaz. Więzień zachwiał się na nogach, ale wstał, wstrząsnął głową jak wilk po długim biegu, zamrugał oczyma.

– Jak się nazywasz?

– Przecież wiecie – wymamrotał. – Podstarości wszystko spisał na bumadze. To po co język strzępić? Kończ, co masz kończyć, i nie rób wertiepu! <sup>46</sup>!

– Nie jestem sługą podstarościęgo – zabrzmiało to tak, jak gdyby Dydyński tłumaczył się przed Moskałem, a to nie wróżyło dużych sukcesów jego interogacji. – Przyszedłem z tobą porozmawiać jak równy z równym.

– Kto ci powiedział, że jesteś mi równy?! – prychnął więzień. – Czart swoje, pop swoje! Rzekłem, co miałem rzec, i szkoda strzępić języka. I tak mnie powiesicie, dycze syny.

Najwyższy z hajduków zdzielił go obuchem siekierki przez łeb. Moskał zgarbił się od ciosu.

– Stać! – powstrzymał Dydyński hajduków. – Zostawcie go.

Słudzy zamarli. A wówczas stało się coś, czego szlachcic nie przewidziałby nawet w najgorszych snach. Nagle, zupełnie niespodziewanie, zbity i pokrwawiony Moskał rzucił się niby szczupak na najbliższego ze strażników. Ręce miał skute na krótko do pierścienia na szyi, więc kłapnęła zębami, chcąc złapać za żupan na piersi hajduka!

– Matko! – zawył zaatakowany. – Gwałtu! Ratujcie!

Dydyński poderwał się na nogi. Na szczęście słudzy byli szybsi; zapewne niejednen raz zapoznali się z zębami, łbem, a może i kułakami Borysa, bo w mig oderwali go od niedoszłej ofiary. Szarpali się z więźniem, który nie robił sobie nic z razów i uderzeń spadających na jego wygolony łeb i barki niczym egipskie plagi. Borys nie wydał dźwięku. Nawet gdy obalili go na posadzkę, a jeden ze strażników podkutym butem poczęstował go kopniakiem w ucho. Wówczas zadygotał i opadł z sił, omdlał na zakrwawionej posadzce.

Dydyński załamał ręce. Wszystko poszło nie tak, jak się tego spodziewał.

– Wołajcie mistrza! Ruszać się!

Kat już czekał w drugiej izbie. Barczysty, wygolony Niemiec w kapturze i skórzanym kubraku; przyszedł w towarzystwie dwóch pomocników. Zamek miał własnego oprawcę – zapewne z powodu bliskości gór, którymi chadzali beskidnicy i tołhaje, a szlaki ich aż nazbyt często zahaczały o wioski i szlacheckie dwory ziemi lwowskiej i halickiej. Samborska tortornia była sownie zaopatrzona; widać pan wojewoda nie poskąpił grosza nie tylko na weneckie szyby, ale i na narzędzia do przywracania prawa. Zupełnie inaczej niż w Sanoku, gdzie dyby i hiszpańskie trzewiczki pogniły i pordzewiały, leżąc zapomniane od czasów króla Kazimierza, a do wyświecania z miasta swawolnych dziełek magistrat miejski wypożyczać musiał oprawcę z Krakowa lub sławnego Biecza. Tutaj, w Samborze, sędziowie szermowali równie dobrze łaciną, co niemiecką caroliną, to jest prawem cesarza Karola, i biada było wyraźnikom, szelmom tudzież hultajstwu, którzy ośmielili się przeskrobać coś na targu czy jarmarku. Sąd był za to szybki jak błysk szabli, a wyrok krótki: miecz, koło i szubienica.

– Ocućcie go!

Dwa wiadra wody ochłodziły rozgorączkowany umysł Moskala. Zamrugał oczyma, wstrząsnął okrwawioną głową i spojrział wrogo na Dydyńskiego.

– Od czego zacząć, wielmożny pan Polak? – zapytał mistrz. – Die Line?

– Lina? To znaczy co? – zapytał stropiony Dydyński, który nagle uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nikogo nie posłał na męki. W Polsce nie uchodziło wszak płazem torturowanie szlachty, a chłopów szkoda było skazywać na okaleczenie. Wszystkie męczarnie, których był świadkiem, to chłosta kilku ladacznic na sanockim rynku oraz powieszenie złodziejaska koniokrada. Przy którym zresztą urwał się stary sznur i trzeba było szelmę wypuścić. Była jeszcze w Sanoku egzekucja Kunicy, którego chciała uratować Powidajowa, najstarsza ladacznica w mieście, narzucając mu chustę na głowę wedle starego polskiego obyczaju. Wszelako gdy rzeczony Kunica wejrzał w jej

podstarzałe i ospowate oblicze, odwrócił się ponoć do kata, mówiąc: *Wieszaj, panie Jakubie!*

– Die gute Marter<sup><47></sup>. – Niemiec ukazał sznur zwieszający się z krążka pod sufitem. – Die polnische Schnur... Italienische strappado<sup><48></sup>.

– Brzmi groźnie. Może być – pokiwał głową Dydyński, bo w tych sprawach jego eksperyencja była dokładnie przeciwna niż w koniach, szablach i rzeczach przynależnych do alkowy.

Hajducy powlekli Moskala na środek sklepionej izby. Wykręcili mu ręce do tyłu, związali grubą liną zwieszającą się ze sklepienia. Kat złapał za korbę, podciągnął więźnia do góry, wyłamując mu ręce z tyłu i zmuszając do podźwignięcia się na drżące nogi.

– Tego jeszcze panowie nie próbowały z Borys – rzekł kat, wskazując ruchem głowy strappado. – Był spanischer Stiefel und die Bastonade<sup><49></sup>. Ale on nic nie mówicz...

Dydyński podszedł do więźnia i spojrział mu w twarz.

– Posłuchaj, Borysie, czy jak cię tam zwą po moskiewsku. Jesteś hardy i niepokorny, jak młody wół. Kazałem cię tu przywiązać, abyś nie myślał, że to są jakieś jasełki. Szutki się skończyły. Jesteś już martwym kawałem moskiewskiego ścierwa. Dymitr skazał cię na śmierć. Dzień, dwa i powieszą cię za rogatkami, na rozstajnych drogach.

Borys milczał.

– Ale to nie musi nastąpić tak szybko. Jeśli będziesz gadał, mogę wpłynąć na Dymitra, aby darował ci karę. A nawet puścił wolno.

Moskal uśmiechnął się okrutnym grymasem porąbanych, zakrwawionych warg.

– Jesteś uparty i nie chcesz gadać, kto kazał ci porwać cawewicza. Dam jednak głowę, że ci, którzy męczyli cię wcześniej na polecenie Dymitra, chcieli znać całą prawdę. Mnie w przeciwnieństwie do nich wystarczy jej cząstka. Uczyń jakiś znak,

47 niem. – dobra tortura

48 niem. – włoskie wahadło

49 niem. – hiszpański but i bicie w pięty

podpowieź, jedno słowo, które doprowadzi mnie na ślad, a daję nobile verbum, że nie zostaniesz powieszony. A przy okazji oszczędzisz sobie dalszej męki, a mnie zbytnej fatygi. Jak sam widzisz, jestem szlachcicem i doprawdy nie będzie to miły widok, gdy kat podciągnie cię na linie do góry, wyłamując kości.

– Głupis jak sobaka, pachołku – warknął Moskal nieprzyjaźnie – albo ja zdurniałem ze szczętem. Nie jesteś w mocy obiecać mi łaski, bo wyrok już dawno zapadł. Nie przychodzisz pierwszy z taką obietnicą. Dalej, niechaj zgadnę – rostryga przyjął cię na służbę, więc aby zasłużyć się już na samym wstępie, obiecałeś, że wyciśniesz mnie jak onucę? Ile obiecał ci Samozwaniec? Ostatniemu, który przyszedł mamieć mnie obietnicami, chciał dać sto złotych. Teraz pewnie cena wzrosła do stu pięćdziesięciu. Ostrzegam tylko, Lasze, żebyś nie żądał pieniędzy za zmuszenie mnie do mówienia z góry, bo poprzedniego zbytnika Dymitr kazał wychłostać. Nie tędy droga, bla-din synu! Tak jak nic nie możesz mi obiecać, tak ja nie rozewrę gęby, choćbyś kazał drzeć ze mnie pasy.

– Chcę tylko wiedzieć, kto stoi za tym wszystkim. Car Godunow?

– A chuj jemu w żopu w miasto ukropu! – podsumował Borys i był to pierwszy znany Jackowi przypadek, aby jakiś Moskal wyrażał się o swoim władcy inaczej niż jako o ukochanym batuszce i srogim gosudarze. – I ciebia tożę! Chcesz coś wiedzieć, to podejdź bliżej, Laszku!

Dydyński odruchowo skłonił głowę, pochylił się nad Moskałem.

A wówczas Borys splunął śliną zmieszaną z krwią prosto na karmazynowy żupan, pokazując aż nadto wyraźnie, gdzie Jacek może wsadzić sobie cały szlachecki stan, razem z jego piórami od kołpaków, szablami i perskimi pasami.

– Poszoł w pizdu, Lach durak!

Oblicze pana Jacka pociemniało z gniewu. Uderzył Moskala zaciśniętą pięścią w gębę, raz, drugi, trzeci, czując z rozpaczą, że z równym skutkiem mógłby bić skałę. Porwał za szablę, ale



opanował się. Zamiast żelazem rąbnął Borysa łokciem w żołądek, zyskując tylko przekonanie, że jego zakrzywiona i żelazna pani Dydyńska ukąsiłaby Moskala z o wiele lepszym skutkiem.

– Płocho bijesz! – wycharczał Borys. – Na kułaczym boju pokazałbym, jak pięści hartować. Jajca by w kołokoł zwonili...

– Pieski synu, moskiewski kpie końskim flokiem chędożony! – rozdarł się pan stolnikowic. – Wieprzu diabelski, ślepia ci wydłubię! Łeb utnę, ty...

– Nawet po ciemku gardło ci przegryzę! – zripostował Borys tak wesoło, jakby właśnie prowadzili go do ślubu.

Szlachcic złapał za szablę, widząc, że biciem ani groźbą nie uczyni dużego uszczerbku Moskalowi. Na szczęście kat pociągnął za linę. Konopny sznur powłókł Borysa w górę, wyłamał mu ręce w tył. Więzień zawisł pochyłony w przód, rozdygotany, nadaremnie szukający skutymi łańcuchem stopami jakiegoś punktu oparcia, całkiem jak grecki Archimedes usiłujący dźwignąć ziemię; tyle tylko, że Moskal pewnie nigdy o nim nie słyszał.

Dydyński otarł rękawem plwocinę, puścił rękojeść szabli, oklapł, cofnął się nieco.

Borys cierpiał... Szlachcic widział, jak jego wykręcone w tył ramiona powoli, ale nieubłaganie dokonują obrotu, ustawiając się równoległe do tułowia.

Zanim to nastąpiło, dał znak katu. Niemiec zwolnił linę, a Borys gruchnął na posadzkę tak mocno, że Dydyński skrzywił się, bo pomyślał, że po takim upadku ma zgruchotane wszystkie kości.

I dobrze! Po tym, co się stało, nie żywił do Moskala innych uczuć jak złość. Było w gruncie rzeczy wszystko jedno, czy mistrz Friedrich połamie mu gnaty na linie i kole aż do zgonu, czy też więzień złamany i okaleczony na postrach dla innych zamachowców zostanie powieszony za bramami Sambora. Dydyński chciał tylko wyciągnąć od niego wiadomość o tym, kto i dlaczego zlecił porwanie Dymitra. A prawdę powiedziawszy, wystarczyłby mu tylko jeden mały ślad.



Borys leżał, nie ruszał się, ale żył, bo jego pierś unosiła się spazmatycznie.

– Gdzie są jego rzeczy? – zapytał szlachcic. – Co miał na sobie, kiedy go tu przyprowadzono?

Mistrz odwrócił się do jednego z czeladników.

– Johann, komm hier! <50>

Wezwany pachołek skłonił się i zbliżył, a jego gęba miała wyraz, jaki widuje się czasem u baranów prowadzonych na rzeź.

– Gdzie sakwy i moderunek Borysa? – zagrział stolnikowic. – Dawajcie je zaraz!

– Nic nie miał, panie – rzucił pomocnik. – Goły był, za przeproszeniem, jako ta picza bisurmańska.

– Na pewno? – zagrział Dydyński i spojrzał badawczo na mistrza. – Bo ja słyszałem, że podstarości zapisał wszystko w księdze grodzkiej. Mam pójść i sprawdzić, czy te rzeczy się znajdują?

– Pomiłujcie, panie! – jęknął czeladnik. – My nie winowaci... Było trochę moderunku, przepomniałem, żeśmy go wzięli na... na...

– Na przechowanie! – uzupełnił drugi.

– Właśnie! Żeby hajducy zamkowi nie pobrali.

– A to dobrze – roześmiał się szydlerczko Jacek – bo skoro wzięliście rzeczy w depozyt, tedy rozumiem, że strzeżliście ich jak skarbu i wszystko jest w absolutnym porządku!

– Wszystko, a jakże... Myśmy je dobrze ukryli...

– Ja wcale nie twierdzę, że je ukradliście. Bo przecież nie chcielibyście zamienić się – wskazał Borysa – z tym tu na miejscu, prawda?

– Oj, prawda najprawdziwsza! – zajęczał subtortor.

– Ja nie chcę ich wam zabierać – uspokoił stolnikowic pachołków. – Przechowujcie je sobie dalej, ale przynieście je do obeerzenia. Dawajcie te rzeczy. – Stuknął palcem w stół. – I to zaraz.

Pachołkowie kopnęli się do drugiej izby. I po chwili przylecieli, przynosząc sakwę, krótki terlik, to jest pikowany i wyszywany kaftan moskiewski, kaletę, opończę, bandolier, czyli pas z gotowymi ładunkami do przewieszenia przez pierś. A także skałkowy pistolet zdobiony srebrem i moskiewską szablę z rękojęścią przypominającą drapieżną głowę ptaka.

Terlik i broń nie pasowały do zwykłego moskiewskiego zbója z traktów. Albo zatem Moskal Borys obłupił kogoś możnego na gościńcu, albo też – wniosek był całkiem prosty – wcale nie był grasantem ani pospolitym zbiegiem z Moskwy.

Dydyński obejrzał pistolet. Wyciągnął pobojczyk, włożył do lufy i przekonał się, że broń była nabita, ale panewka niepodsypiana prochem.

Zajrzał do kalety, lecz nie znalazł tam ani złamanego grosza. Nawet nie chciało mu się pytać o to pachołków. Sprawdził kaftan, obmacał każdy skrawek materiału, szukając zaszytego listu. Nic nie znalazł. Sięgnął po opończę, ale ta była postrzępiona, porwana i poszarpana.

– Podnieście go!

Kat i pachołkowie podeszli do ledwie dychającego Borysa. Pierwszy z nich trącił go nogą, a mistrz szarpnął za sznur idący od związanych na plecach dłoni.

I wtedy Borys zerwał się na nogi jak zraniony dzik, kiedy podejdzie doń nieostrożny myśliwy. Nie do wiary! Nie do uwierzenia!

On po prostu podskoczył, przerzucił z jękiem związane ręce pod zakrwawionymi stopami... odtrącił barkiem najbliższego czeladnika, chwycił mistrza Friedricha za szyję, zdusił go w ogromnych łapskach jak szmacianą kukłę! Kat, choć krzepki jak młody wół, zacharczał, rzucił się w uścisku Moskala, podobny musze w uściskach pająka.

– Puskaj! Do dytka! – rozdarł się drugi z czeladników.

Dydyński wyskoczył zza stołu. Jednym ruchem lewej dłoni odwiódł kurek pistoletu. Dopadł do Borysa, wbił mu lufę pod żebra.

– Puszczaj, psi synu!

– Meiiiiinnnn Gottt – wycharczał kat. – Hilfeeeeeee...

Czeladnicy szarpnęli Borysa za ręce. Bili, odrywali go siłą od preceptora, ale z równym skutkiem mogliby próbować zdźwignąć z posad zamek starościński w Samborze.

Dydyński nacisnął na spust. Kurek opadł z głośnym trzaskiem, odrzucił krzesiwo niderlandzkiego zamka, skrzesał iskry...

Strzał nie padł! Dydyński nie podsypał prochu na panewkę! Diabeł by przeklął te sodomickie nowości; wszystko w tych zamkach robiło się inaczej niż przy pocziwych pufferach stolnikowica wyposażonych w krzoski, to jest w zamki kołowe.

Siny, roztrzęsiony kat zacharczał, zadygotał. A wtedy Dydyński chcąc nie chcąc dzielił Borysa w potylicę rękoięścią pistoletu, aż echo poszło po izbie. Raz, drugi, z całej siły, z zamachu!

Poskutkowało za trzecim razem. Zamroczony Moskał opadł na posadzkę, rozluźnił uścisk na szyi mistrza Friedricha. Reszty dopełniły kopniaki i pięści pachołków.

Kat charczał, dusił się, rzeził, trzymając się za gardło i szmatycznie wdychając powietrze. I prawdę powiedziawszy, wyglądał na znacznie bardziej zmaltretowanego tą jedną sztuką niż zakrwawiony Borys, który przeszedł przez wszystkie stopnie wtajemniczenia katowskiego rzemiosła.

– Podnieście go w górę! – rozkazał Jacek pachołkom. Posłusznie chwycili za korbę, podciągnęli strappado wyżej. Lina, bezlitosna jak moskiewska sprawiedliwość, powlokła Borysa, zawiesiła na wyciągniętych jak struna rękach, które subtortorzy zapomnieli w pośpiechu wykręcić na powrót do tyłu.

Tak czy owak, nawet wiszący na linie Moskał nie wymagał większej opieki niż katowski mistrz. Podduszony Friedrich miotał się po posadzce, tocząc pianę z ust, chwycił się za gardło i rzeził. Jeden z pachołków wybiegł po wodę, drugi podtrzymał preceptora.

Pan Jacek wrócił do stołu. Obejrzał bandolier, z którego zwisało dwanaście apostołów, to jest dwanaście tulei na kule do

pistoletu. A kiedy Dydyński odsunął nasadkę pierwszej z nich, okazało się, że tkwił tam gotowy ładunek zawinięty w papier.

Wyciągnął pocisk razem z porcją prochu, aby sprawdzić, czy w tulei jest coś ukryte. Nic. Pusto jak w kabzie po wyjściu z szynku.

Zdesperowany chciał rozerwać papier, aby wysypać proch i sprawdzić, czy nie schowano czegoś w ładunku. Powstrzymał się jednak i aż palnął w łeb. To było więcej niż nierozważne, bo tuż obok skwierczał kaganek, nieopodal na palenisku płonął ogień, a pod ścianą stał kosz z węglami, gdzie rozgrzewało się katowskie instrumentarium służące do czynienia krzywdy bliźnim. Naderwał papier, odciągnął kurek, podsypał trochę prochu na panewkę pistoletu, zamknął ją i wręczył broń pachotkowi.

– Miej oko na Moskala – rzekł. – Gdyby zrobiło się gorąco, strzelaj w łeb! Ja za chwilę wrócę. Czekaście na mnie z badaniem.

Zabrał ze stołu bandolier, a potem przeszedł do sąsiedniej izby. Usiadł na ławie i raz jeszcze wyciągnął kulę z tulei. Rozwinął zgnieciony papier, wysypał proch na ławę, położył obok pocisk.

Nic tam nie było ukryte. Sprawdził następny ładunek. Osiem kul, osiem gotowych do odpalenia porcji. Wyciągał je po kolei, rozwijał papier, wysypywał proch.

Nic nie znalazł. Popsuł ładunki, a proch z nich utworzył czarną, sypką piramidkę u jego stóp.

I wtedy spojrział na zwitki, w które owinięte były kule. Strzępki zapisane były koślawymi ruskimi literami i wyglądały jak... kawałki jakiegoś pisma! Machinalnie przysuwał je do siebie, rozprostowywał, układał. Czyżby Borys owinał kule w strzępy własnego listu? W sumie był to doskonały sposób na zniszczenie śladów, pod warunkiem, oczywiście, że zdołałby zużyć wszystkie ładunki.

Co tam było napisane?

Układał, dopasowywał do siebie brudne, poplamione strzępy, starając się odczytać, a w niektórych miejscach wręcz odgadnąć tekst. A wraz z nimi w jego głowie pojawiały się strzępy zdań i słów.

*...zjawi się człek nasz. On okaże ci znak – Niedźwiedzi Chrest. Tak ty, Borys, temu człowiekowi czołem bij, jakoby carowi niebiesnemu, poteszytielowi naszemu.*

*Kiedy by on chciał, byś z nim o milę szedł, idź i dwie. Kiedy by po grzbiecie twym na koń siadać chciał, nadstaw mu kark. Kiedy by w opasności był, nie wahaj się ...niego oddać.*

Tu była większa dziura.

*...inny człowiek zjawił i rozkazywać tobie chciał, lecz Chrestu nie okazał, tedy go ubij jak sobakę i w cztery strony świata... członki jego...*

Znów przerwa. Dalej było coś ciekawego:

*Jest zaś przy Dymitrze zdrajca, który wiesz się przy nim, nieprawością nasączając uszy Samozwańca. Był on kiedyś u nas pisarczykiem i nie wiadomo jak wywyższył się spośród ludzi służebnych. My zaś przed laty wzięliśmy go z gnoju i zrównaliśmy z wielmożami, spodziewając się wiernej służby. A on do Samozwańca przystał i przeciw nam czynem i słowem świadczy. Tak ty się tego człeka strzeż, a pomnij, że zowie się...*

Jacek Dydyński wciągnął ze świstem powietrze. List był pokręcony jak rogi moskiewskiego diabła, ale zawierał w sobie dwa konkrety. Pierwszy, że na drodze Borysa miał znaleźć się człek, który pokazałby mu Niedźwiedzi Chrest. A drugi, że w otoczeniu Samozwańca był ktoś, kto niegdyś służył wiernie jego prześladowcom, a potem zdradził ich.

Co to był ten Niedźwiedzi Chrest? Chrest, czyli moskiewski krzyż, jaki większość bojarów i kniaziów nosiła na szyi. Ale dlaczego niedźwiedzi? Cóż to mogło znaczyć?

I kto był zdrajcą? Gdyby Dydyński miał dalszą część listu, być może zdołałby odczytać imię i nazwisko wiarołomcy.

Dalszą część listu? Jacek poczuł, jak ziemia zakołysała mu się pod stopami, a przecież wcale nie był pijany. Pistolet! Pistolet był przecież załadowany kulą owiniętą... Zapewne w papier, być może w pierwszy albo ostatni kawałek listu!

Zimny pot wystąpił mu na czoło. Na Boga, zostawił naładowaną i nabitą broń w rękach pacholców katowskich!

Jak burza wpadł do tortorni. Mistrz przyszedł już do siebie, słudzy byli w komplecie. Nabity i podsypyany pistolet leżał na stole... Na szczęście!

Dydyński porwał go i zniknął w sąsiedniej sali ścigany zdumionymi spojrzeniami katów. Szybko wytrząsał proch z panewki, ostrożnie zwolnił kurek, porwał grajcar, nakręcił go na obojczyk, a potem włożył w lufę i wkręcił w ołowianą kulę. Po kilku niebezpiecznych chwilach – robił wszystko szybko; gdyby proch w lufie wybuchł, pożegnałby się z ręką – wyciągnął kulę zawiniętą w wymięty strzęp papieru. Rozłożył go ostrożnie, przyłożył do pozostałych. I przeczytał:

*...że zowie się Waartam Jaickij. Jeślibyś w opałach się znalazł od ludzi Dymitrowych, to mu przypomnij, że Nam kiedyś wiernie służył i jak pies był posłuszny.*

Podpisu nie było.

Wszystko stawało się proste, jasne i zrozumiałe. Dydyński czuł się tak, jakby jakiś złotousty, przebiegły jezuita szeptał mu do ucha rozwiązanie tej sprawy. A więc Jaickij, przebiegły mnich, który pod maską skromnego czerńca ukrywał oczy rozbiegające się niby sarenki na widok dukatów, służył niegdyś ludziom, co chcieli porwać Dymitra. Zaiste wiedza godna Machiavellego. Tylko jak ją wykorzystać? Powiedzieć Dymitrowi? A może Marynie?

Tak zajął się patronami i kulami, że całkiem zapomniał o reszcie rzeczy. A gdy obracał w rękach pas Borysa, jego wzrok padł na blachę osłaniającą hak. Był tam herb: szlachecki polski Nałęcz.

Skąd taki pas u Moskala? Może go kupił albo zdobył? Przecież ujęto go w Rzeczypospolitej. A jak wyglądała reszta rzeczy?

Złożył kawałki listu i wetknął je w zanadrze. A potem wrócił do sąsiedniej izby. Kat i pomocnicy, choć nie nadwyrężyli zdrowia Borysa, zdobili już przełożyć mu skrępowane ręce za plecy i nieco podciągnąć na strappado.

Podszedł do stołu i zerknął na kaletę – także zdobioną Nałęczem. Chwycił róg z prochem – także z herbem. Bez wątpienia wszystko to należało do jednego kompletu. A może i do jednej osoby?

Podszedł z pasem w rękę do Borysa, który zdołał już oprzytomnieć, i podetknął mu blachę pod nos.

– Tu jest szlachecki herb – rzekł ponuro. – Chcę wiedzieć, skąd to masz. Kupiłeś? Ukradłeś? A może ktoś ci to podarował?

– Zabiłem Lacha w Suzdalu – wycharczał Borys z pogardą. – To jego rzeczy.

Dydyński poczuł się tak, jakby oblano go ukropem. W Suzdalu? To znaczy w Moskwie!

– Daję słowo szlacheckie, nobile verbum, że nie będziesz więcej podciągany. O ile tylko wyznasz jak na spowiedzi, gdzie w Moskwie spotkałeś Polaków albo Litwę, którzy zostali osadzeni w waszej barbarii jako niewolnicy.

– Poznałem wielu twoich pobratymców – wycharczał Borys, tocząc pianę z ust. Miał błędny, rozgorączkowany wzrok. – Osadzonych za Wołgą... Po wojnach inflanckich, kiedy wzięli ich w plen<sup>51</sup> nasi bojcy<sup>52</sup>.

– Spotkałeś kogoś, kto się nazywał Dydyński? I miał w herbie Gozdawę?! – wykrzyknął Jacek. – Srebrną lilię! W czerwonym polu. Gadaj, psi synu!

– Widziałem, a jakże – zaskrzyphiał Borys. – W żopu u pizdiuka!

– Hej, mistrzu! Podciągnijcie go! – zakrzyknął Dydyński.

51 rus. – niewolę

52 rus. – żołnierze

– Dałeś słowo – wycharczał Moskał z wyrzutem. – Mam się spowiadać wiarołomcy? Idź do dytka!

– Słowo dane Moskałowi warte tyle, co plewy na wietrze!! – ryknął doprowadzony do lwiej furii i szewskiej pasji Jacek. – Podciągać go! Ruszać się!

Mistrzowi Friedrichowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Szarpnął wraz z pomocnikami za liny tak gwałtownie, że Borys pojechał trzy stopy w górę. Moskał zacisnął zęby, zadygotał, gdy naprężona lina podźwignęła go i uniosła nad kamienną posadzkę. Ramiona Borysa naprężyły się, podniosły do góry; Dydyński niemal usłyszał chrzęst wyłamywanych ścięgien.

Borys dygotał, toczył pianę z ust pochylony do przodu. Strumyk krwi pociekł z przegryzionej wargi.

– Gdzie napotkałeś Polaków?! Mów, psi synu! – zaryczał Dydyński i przypadł do Borysa.

Moskał milczał, przymknął oczy. Dygotał i rzęził.

– Wyżej! Jeszcze! Niech poczuje ból!

Moskał krzyknął krótko, urywanie. Zawisł bezwładny na wykręconych, wyłamanych ze stawów ramionach. Strużka krwi ciekła mu z ust, powoli skapywała na kamienną posadzkę...

– Ciągnąć! – krzyknął rozwścieczony Dydyński.

– Panie, on nic nie powie – zakrzyknął katowski czeladnik. – Nic nie czuje. Cyrulika, bo nam skapieje!

Dydyński spojrział w blade, brodate oblicze Moskala. Theatreum było skończone, a główny aktor schodził właśnie ze sceny.

– Biegnijcie po medyka! – warknął szlachcic. – On nie może zdechnąć!

*Die 1 augusti*

*Podziemia zamku w Samborze*

– Ten list – rzekł Dydyński do wojewodzianki – pogrąży Waarłama Jaickiego w bagnie bardziej niż wór pełen skarbów wrzucony na barki skąpca spacerującego po trzęsawisku.



Maryna ujęła list złożony z brudnych i poczerniałych skrawków papieru naklejonych na papierową kartę.

– Dzięki temu pismu odsuniesz Waarłama od Dymitra – wyszeptał Dydyński nad ramieniem wojewodzianki. – Sama zajmiesz jego miejsce, okręcisz carewiczka sobie wokół palca. O czym marzysz po całych dniach... i nocach!

– Samo niebo zesłało nam tak grzecznego, miłego i gładkiego kawalera jak waszmość pan – westchnęła Maryna i opuściła list. – Mości Dydyński, kiedy waszmość otaczasz mnie ramieniem, czuję się bezpieczna jak za murami największego zamku. A gdy cię widzę przy moim boku, myślę, że niestraszna mi cała moskiewska armia.

– Słowa waszmość panny jako miód na mnie spływają – rzekł ostrożnie Dydyński, który na razie wolałby raczej spoufalić się z tygrysią niż z wojewodzianką. – Niestety, chudopacholek ze mnie, niegodny trzewiczków twoich całować. Dlatego za list ten chciałbym od was, mościa panno – co tu dużo gadać – drobnego faworu.

– A cóż to za fawor? Chętnie posłucham, aczkolwiek boję się... Bardzo – wydyszała, przymknąwszy oczy. – Dalejże, mości panie stolnikowicu. Husarzem jesteś, więc szarżuj... Jeno nie przebij mnie swą kopią.

– Dopraszam się łaski i zmiłowania dla Moskala Borysa. Tego, co chciał porwać carewiczka i lada dzień będzie powieszony, łamany kołem, czy co tam twój ojciec i Dymitr wymyśla dla niego.

– Dlaczego chcesz go uratować? Ani ci on swat, ani brat, a już na pewno nie z rodu Dydyńskich.

– Chciałbym go zabrać do Moskwy. Jako sługę. I niewolnika.

– Większy to błazen niż królewski trefniś: człowiek, który mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swobodę. Po cóż ci Borys? To niebezpieczny człek. Łatwiej uczynisz sługę z wilka niż z tego zapiekłego Moskala.

– Myślałem, mościa panno wojewodzianko, że lubisz tajemnice.

– Powiedz lepiej, że ma to jakiś związek z misją, którą zlecił ci Dymitr.

– Jaką misją? – Dydyńskiemu nie drgnęła nawet brew, w tej chwili wyglądał jak pomnik kamiennego spokoju albo kolumna rzymskiego cesarza Trajana. – Pomiędzy mną a carewiczem nie ma żadnych sekretów. Ot, okazuje mi wdzięczność za uratowanie zdrowia, a może i życia pod Bachorzkiem.

– Pomogę ci, mości panie Dydyński – zdecydowała i potrząsnęła twierdząco kształtną główką. – Jakżebym mogła odmówić prośbie tak układowego kawalera, naszego sługi i przyjaciela. Wstawię się u Dymitra, aby darował życie Borysowi Moskalowi. Ale dopiero wtedy, mości panie stolnikowicu, kiedy okażesz się... prawdziwym mężczyzną.

Kapryśnym i wykwintnym ruchem cisnęła list na podłogę pod nogi Dydyńskiego.

– Przestańmy prawić sobie dusery i przyjemności, mości panie, i zajrzyjmy prawdzie w oczy. To pismo nie sprawi, że carewicz odsunie Waarłama. Napal nim w kominku, będzie z niego znacznie większy pożytek, niż gdybyś chciał wykorzystać list jako broń. Może ogrzeje zacne serce waszmości. Jesteś dobrym i prostym człowiekiem, całkiem jak pies świętego Bernarda, widać, żeś nie bywał ani na królewskim, ani na wielkopąńskim dworze, ale arkana polityki poznawałeś w karczmach i na sejmikach.

Dydyński schylił się po list. Podniósł go i ścisnął w rękę.

– To pismo nie otworzy przede mną drogi do Dymitra – rzekła posępnie. – Nie ma tu ani podpisu, ani adresata. Nie wiemy, co to za tajemniczy ludzie, którzy wywyższyli Waarłama ponad moskiewski plebs. Nie wiem, kim był u nich ani dlaczego zdradził. Takich intryg było już całe mnóstwo i Dymitr nie dawał im posłuchu. W końcu Jaickij wyprowadził go z Moskwy, zabrał ze służby u Romanowych, był jego opiekunem i przewodnikiem. Dymitr darzy go niemal synowskim uczuciem. Zwłaszcza że swego prawdziwego ojca – cara Iwana – znał mniej niż waszmość króla Zygmunta. Bywały tu już

i namowy, i plotki, a nawet doniesienia przeciwko Waarłamowi. Żadne nie spowodowały więcej niż wzruszenie ramion Jego Carskiej Wysokości. Idź z tym do Dymitra, a osiągniesz tyle, że jeno go rozzłościysz, utracisz carską łaskę, a może i zaufanie. Po co ci to?

– Jeśli, mościa panno wojewodzianko, jesteś mędrsza niż Katon i przebieglejsza niżli Messalina, poradź, co czynić. A ja wypełnię, co każesz. Przecież jestem dobry. I posłuszny jak pies świętego Bernarda.

– Idź z tym listem nie do Dymitra, ale do Waarłama. Zaszantażuj go, zastrasż, duś jak limona, dój jak krowę. Może wygada się z czymś, co warto by szepnąć mi na uszko, a ja już zadbam, aby odpowiednie słowo trafiło do carewicza.

– To podłe. I przebiegłe.

– Tu jest carski dwór, a nie koło rycerskie. Tu władza, polityka i siła splatają się w powróż, na którym obwiesimy fałszywego cara Borysa! Oto jest początek nowej władzy i siły. Od ciebie tylko zależy, czy będziesz jej częścią i z moskiewskiej wyprawy wyniesiesz zaszczyty, czy tylko guzy i ludzki śmiech. A więc, panie stolnikowicu? Co uczynisz?

Gdyby mógł, zazgrzytałby zębami z bezsilnej złości.

– Wyśledzę Waarłama na mieście – odparł beznamiętnie. – A potem wycisnę, wydoję i wystraszę tak, że pogubi pludry, uchodząc tam, gdzie rośnie pieprz.

– Wyśmienicie. A kiedy już doprowadzisz swój plan do skutku, odeślij czeladź na noc i nie zamykaj drzwi do swej komnaty.

– Jak to?

– Tak to. Po prostu zostań sam w nocy, kiedy... Panie stolnikowicu, spraw się dobrze, a wtedy dam ci znak.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki